

Remigiusz H.

Każdy ma jakąś rodzinną historię...

Każdy ma jakąś rodzinną historię, a ja chciałbym przedstawić wam moją. Nazywam się Remigiusz Hanula mam 16 lat i mieszkam w Polkowicach na Dolnym Śląsku. O mojej rodzinie mógłbym opowiadać bez końca, ale najważniejsze żebyście poznali historię mojej prababci Jadwigi Hanula. Dowiedcie się tu, gdzie przebywała, co robiła i jak żyła moja rodzina.

Dzieciństwo w czasie wojny

Urodziłam się 3.05.1937 roku w miejscowości Marcinkowice. Moi rodzice to Stanisława i Jan Filip. Gdy miałam sześć lat zmarła moja mama. Szalała wtedy straszna burza. Mój brat, który pasł kozy koło Dunajca, długo nie wracał do domu, a mama się o niego bała. Gdy zaczął się poród, przyszła akuszerka, niestety mama nie mogła urodzić. Nad ranem ojciec zawiózł ją furmanką do szpitala, ale było za późno i zmarła. Mieszkaliśmy w domu żydowskim. Dom był murowany, pokryty dachówką, a w izbach była drewniana podłoga. Składał się z następujących pomieszczeń: izby, kuchni oraz sieni. Ludzie, którzy byli bogaci mieli własne domy, a biedni wynajmowali. Mama, tata, ja i moje rodzeństwo: Tadeusz, Maria i najmłodszy Grzegorz, mieszkaliśmy w wynajętym od Żyda domu. Oprócz nas w tym domu mieszkał też Żyd, który nazywał się Zemel. Obok tego domu była tak zwana Bożnica, w której modlili się Żydzi. Babcia mieszkała trochę dalej, a jej dom nazywano karczma, bo tam kiedyś była karczma. Babcia wzięła mnie do siebie. Dom, w którym mieszkała był wielorodzinny, a każde mieszkanie miało jedną izbę, kuchnię i sieni, tak jak u nas podłoga była drewniana, ale w sieni była gliniana. Była również piwniczka, w której można było coś przechowywać. Podnosiło się klapę by do niej wejść. Obok była komórka, w której trzymałyśmy kozy, a ja je pasalam. Mieliliśmy kawałek ziemi obok domu, na której babcia sadziła groch i fasolę. Tato pracował w kamieniołomach, była to praca państwowa. Babcia natomiast miała rentę po mężu, który zginął na wojnie. Dodatkowo babcia pracowała we dworze, gdzie sadziła ziemniaki, kopala i zbierała warzywa. Babcia za pracę dostawała trochę zboża, które mieliliśmy w żarnach. Dzięki temu mogła upiec chleb i nie byłyśmy głodne. We dworze żona dziedzica - pani Morawska, stworzyła ochronkę dla dzieci. W zamian za pracę przy plantacji pomidorów, uczyła i karmiła głodne dzieci. W Marcinkowicach też chodziłam do szkoły. Tam ukończyłam 4 klasy. Jako dziecko pamiętam taką przygodę, że podczas pasienia kóz jedna z nich wpadła mi do rzeki i z ledwością wyciągnęłam ją z tej wody. Na święta Babcia piekła ciasteczka, był to ogromny rarytas. Podczas świąt Bożego Narodzenia zawsze w domu była choinka, jedliśmy pierogi z

grzybami. Nie było ryby, bo nie było takiego zwyczaju. Były kluski z makiem, pierogi ze śliwkami i kompot z owoców suszonych. Przysmakiem był też ugotowany pęczak z suszonymi śliwkami, ponadto w piecu chlebowym mama piekła Mikołaja. Na święta Wielkanocne jedliśmy wszystko z koszyka co zostało poświęcone. Barszcz biały wtedy nie był znany. Jajka malowaliśmy w cebuli i w buraku i skrobaliśmy na nich wzory. Wojny nie pamiętam, bo jak się zaczęła to miałam trzy lata. Więcej zdarzeń nie pamiętam z okresu końca wojny. Działań wojennych nie odczuliśmy w Marcinkowicach, wojna toczyła się z dala od nas. W wiosce stacjonowały wojska niemieckie, ale żyliśmy w zgodzie i nie pamiętam by nam ktoś robił krzywdę. Niedaleko naszego domu znajdowała się kuchnia polowa. Tam przygotowywano posiłki dla żołnierzy, jak zostało jedzenie rozdawali wszystkim mieszkańcom. Dopiero gdy wkroczyły wojska rosyjskie poczuliśmy smak wojny. W domu u babci byli zakwaterowani Niemcy, którzy spali na siennikach w przedsiönku. Pod koniec wojny panika w śród Niemców była ogromna, ponieważ armia radziecka była już za Dunajcem. Niemcy uciekali. Pamiętam, jak jechał pociąg towarowy - transport niemiecki który oprócz amunicji i dział przewoził żywność. Wyruszył ze stacji, Marcinkowice i jechał w kierunku Kasiny Wielkiej. Zatrzymał się na przejeździe opodal naszego domu. Rosjanie bombardowali ten pociąg by uniemożliwić ucieczkę Niemcom. My również uciekaliśmy ukryliśmy się w stodole, gdzie zebrało się pół wsi. Mieliśmy ze sobą pierzyny i okrywaliśmy głowy, bo huk był potężny. Dach stodoły został zniszczony i wszystkie dachówki spadały na nasze głowy. Nie pamiętam jednak by komuś coś się stało. Po skończonym bombardowaniu ludzie ruszyli w stronę pociągu by wziąć co się dało, przede wszystkim jedzenie. W pewnym momencie nadleciały samoloty, ale nie bombardowały, bo ktoś dał znać, że tam są Polacy. Po chwili nadleciały następne samoloty i ludzie myśleli, że wracają z powrotem. Niestety byli to Rosjanie, którzy bombardowali i dużo ludzi zginęło. Wszyscy sobie pomagali, jedni wrócili do swoich domów, a ci co już ich nie mieli byli przyjmowani przez innych.

Wjazd na Ziemię Odzyskane

Ojciec ożenił się ponownie. Na świat przyszedł kolejne dzieci, była bieda, a w kamieniołomach niewiele zarabiał. Zrodziła się myśl wyjazdu na zachód. W decyzji pomógł wujek, który już tam się osiedlił. Znalazł dom w Michałkowie koło Wałbrzycha. Niemiec prowadził tam duże gospodarstwo. Wszyscy wyjechali, a ja zostałam z babcią. Po kilku miesiącach tata po mnie przyjechał. Jechaliśmy pociągiem do Legnicy. Z Legnicy do Wałbrzycha jechaliśmy pociągiem

towarowym, tata okrywał mnie pierzyną, bo był wtedy bardzo duży mróz. Z Wałbrzycha do Dzieńmorowic, gdzie mieszkał nasz wujek, dojechaliśmy tramwajem, potem wujek zawiózł nas do Michałkowej. W maju moja babcia przyjechała sprawdzić czy nie dzieje mi się krzywda. Na zachodzie mieliśmy dużo lepiej, nie było biedy. Była to duża gospodarka. Mieliśmy swoje mleko i nawet miód. Nie pamiętam by nie było co jeść. Na tej gospodarce mieszkali razem z niemiecką rodziną. Byli to poprzedni właściciele. Ich starszy syn był na wojnie, a taki w wieku mojego brata Tadeusza mieszkał z nimi, dom prowadziła niedoszła żona syna, który jak potem się okazało zginął na wojnie. Niemieccy gospodarze opuścili Polskę ostatnią grupą w 1946 roku. Gospodarka była bardzo dobrze wyposażona. Było to 10 hektarów pola, mieliśmy maszyny: młockarnia, koparka do ziemniaków. Wszystko było zmechanizowane. W czasie, gdy organizowano PGR-y nie wszyscy zgodzili się, aby w nich pracować. Było dziesięciu rolników na wsi którzy nie przystąpili do PGR-ów. Oczywiście za to zabrali nam młockarnie nieszczęście mogła być przez wszystkich użytkowana. Zabrano nam jeszcze kilka innych rzeczy za niesubordynację. Żyło się lepiej tym gospodarzom którzy umieli się przypodobać władzy. W Michałkowej była szkoła, do której wszyscy chodziliśmy. W celu zdyscyplinowania uczniów stosowało się różne kary np.: staliśmy w kącie lub dostawaliśmy baty. Do piątej i szóstej klasy chodziłam do szkoły w Jugowicach. Językiem obcym obowiązkowym był język rosyjski. Do szkoły chodziliśmy pieszo wokół jeziora 9,5 kilometra. Jak było bardzo zimno to ktoś nas podwoził. Do klasy siódmej chodziłam do Walimia osiem kilometrów i tam skończyłam podstawówkę. Po ukończeniu szkoły pomagałam na gospodarce. Jako szesnastoletnia dziewczyna poszłam do pracy w straży przemysłowej. Stałam z karabinem w ręku w nocy i pilnowałam tamy w Zagórzcu.

Moje dorosłe życie

W 1955 roku przyjechałam się do pracy do Zakładów Lniarskich w Walimiu. Pracowali tam jeszcze Niemcy i to oni nauczyli ludzi pracy. Pamiętam, że majstrem był Niemiec. Zakład miał oddział, który nazywał się Kaliko, a w nim produkowano linoleum, sztuczne skóry itp. Ja pracowałam na tkalni, gdzie tkano wyroby lniarskie: ścierki, obrusy, prześcieradła. Ostatni Niemcy opuścili Walim w 1958 roku. Zakład zatrudniał 2000 pracowników. Wyroby były wysyłane na cały świat (Chiny, Japonia i Europa). Zakłady Lniarskie zostały zlikwidowane w 1992 roku. Do dzisiaj na tym miejscu stoją ruiny i zaniedbane gruzowisko. Do pracy chodziłam pieszo było to bardzo męczące, bo musiałam przejść 8 kilometrów tam i powrotem. Pracowałam na trzy zmiany i jak o 22:00 kończyła się druga zmiana, to w nocy wracałam przez

las. Było ciemno i czułam strach. Koleżanka podpowiedziała mi bym złożyła podanie o mieszkanie w Walimiu, które dostałam. Było mi wtedy dużo łatwiej. Mojego męża poznałam w pracy. On był elektrykiem i jak coś się zepsuło to on naprawiał i tak się to zaczęło. Zgodnie z tradycją odbyły się moje zaręczyny, Przyszedł mój przyszły mąż z bratem prosić rodziców o moją rękę. Mama przyszykowała obiad. Nie dostałam wtedy pierścionka, ale otrzymałam go po latach. Nastąpiły przygotowania do wesela i zaproszeni goście ze wsi przynosili produkty potrzebne do wypieków ciast tj. jajka, ser itp. Wesele było w zimie 6.02. 1955 r. Zaproszonych było 100 osób – rodzina i przyjaciele oraz wszyscy mieszkańcy wioski. Uroczystość odbyła się w moim domu rodzinnym, grał prawdziwy zespół. Na piętrze goście tańczyli, a na parterze jedli i pili. Uroczystość rozpoczęła się tak jak dziś - obiadem. Dostaliśmy wiele prezentów, na przykład piękny obrus w malowane wzory, pościel, tarkę do prania nowoczesną, bo szklaną, serwis obiadowy. Moim wianem od rodziców był komplet sypialniany: szafa, dwa łóżka, cztery krzesła, pierzyna, do kuchni kanapę, trochę garnków i naczyń. To pozwoliło nam urządzić mieszkanie, które otrzymaliśmy od Urzędu Gminy. Za pieniądze zebrane z wesela kupiliśmy kuchenkę gazową. Za rok urodziłam córkę, a po dwóch latach urodziły się bliźniaki - dwóch synów. Mąż, aby zapewnić nam jak najlepsze warunki, cały wolny czas poświęcał dodatkowym pracom. Naprawiał sąsiadom buty, potrafił uszyć dzieciom papcie z filcu i nie musieliśmy ich kupować. Gdy dzieci dorastały, to własnoręcznie wykonał dla chłopców sanki, narty i nauczył ich na nich jeździć. Pracowaliśmy w zakładzie, ale by ubrać siebie i dzieci i by było co jeść. Trzymaliśmy w komórce świnie. Były przeważnie dwie, jedną sprzedaliśmy, a druga po to by było co jeść. Mieliśmy przy domu ogródek i tam sadziliśmy ziemniaki i warzywa. Mieszkaliśmy w dużym domu, który miał dwie klatki i dwa piętra. W całym bloku mieszkało 12 rodzin. Było dużo dzieci, które się wspólnie na podwórku bawiły. Byliśmy pierwszą rodziną w bloku która miała telewizor, a mąż miał motor SHL którym jeździliśmy. Jak dzieci były już duże, postanowiłam pójść do szkoły by podnieść swoje kwalifikacje i ukończyłam technikum włókiennicze. Dzięki temu dostałam pracę w biurze. Lata mijały, dzieci się usamodzielniały. Po ukończeniu szkoły wyjechały do pracy do Polkowic. Zawsze na wszystkie święta i okazje wracały do domu. Najpierw sami, a potem z całymi rodzinami. Często wnuki spędzały wakacje u nas w Walimiu. Przeżyłam z mężem 52 lata. Po jego śmierci wyjechałam i zamieszkałam blisko dzieci.

W dniu dzisiejszym moja prababcia Jadwiga ma 86 lat i mieszka w Głogowie. Mój ojciec pracuje jako górnik, a ja poszedłem do technikum górniczego w Lubinie i mam zamiar iść w

ślady taty. Mam nadzieję, że kiedyś napiszę sam własną historię, którą będę się mógł podzielić tak jak moja prababcia.



Rok 1943 . Stanisław a Filip z dziećmi; od lewej Córka Maria, syn Tadeusz,
Córka Jadwiga i na kolanach mamy Grzegorz, Marcinkowice

Fot. Archiwum J. Hanula



Rok 1950. Jan Filip (Ojciec) Michalkowa
Michalkowa



Rok 1950. Dorota Filip (druga żona ojca)

fot. archiwum J. Hanula



Michalkowa luty 1955 r. Ślub Jadwigi i Jana Hanula.

fot. archiwum J. Hanula



Michalkowa luty 1955 r. Państwo młodzi i goście weselni; Fot.

Archiwum J. Hanula



Walim 1958 r. Jadwiga z mężem i dziećmi

Fot. Archiwum J. Hanula



Walim 1958 r. Jadwiga z dziećmi i sąsiadami



Walim 1960 r. Jadwiga z bratową .

Fot. Archiwum J. Hanula



Urząd Stanu cywilnego w Jedlinie Zdroju 2005 r. Uroczystość 50-
lecie Jadwigi i Jana Hanula

Fot. Archiwum J. Hanula